

*„I przybył do doliny złem skalanej,
ujrzał tam te oczy, te wielkie szare oczy.
Nie zobaczył w nich jednak smutku czy bólu,
nie zobaczył w nich nic”*

Zatrzymałem motor przed zamkniętą bramą miasteczka. Na murach zobaczyłem żołnierzy patrolujących teren oraz kapitana stojącego tuż obok wjazdu.

- Kim jesteś? - wykrzyczał.

- Sambor. - Zrobiłem pauzę dla lepszego efektu. - Strażnik.

Ubrany był w brązowozielone ubranie, na którym widniała zbroja. Napierśnik, naramienniki, karwasze, nagolenniki i kask. Złoty orzeł zdobił pierś, godło ludzkiego rządu.

- Czekaliśmy na ciebie.

Czekaliście? Niby skąd mogliście wiedzieć, że przyjadę.

Po chwili brama otworzyła się, a ja nie czekając zbyt długo wjechałem za nią.

Zawsze lubiłem to miejsce, tę planetę, jeszcze nie zniszczoną przez ludzi. Hejdoston, tak ją ludzie ochrzcili. Tutaj jeszcze nie został jeszcze zniszczony ekosystem, a zwierzęta żyły swobodnie, po swojemu, nie w rezerwatach, jak wszędzie indziej. Była dzika. Wokół oraz miasteczka takie jak to chowały się za parkanami.

- Burmistrz w pracy?

- Nie wiem, w każdym razie urząd już otwarty. - Uśmiechnął się, jakby spadł z niego ciężar. - Babka opowiadała, że przybędziesz.

- Jaka babka?

- Poznasz ją pewnie – odparł. - Chciała z tobą porozmawiać.

Spora część nowo powstałych osad miała swoją niepiśmienną starzyznę lub wieszczkę, której nawet sam Burmistrz się słuchał. Niektóre z nich to prawdziwe czarownice, po odpowiedniej szkole, z dyplomem. Inne jednak to kobiety, które posiadają talent magiczny, ale nie wykształcony. Miały pecha urodzić się na zadupiu i nie mieć możliwości nauki. Z niewiadomych powodów częściej kobiety rodziły się z darem jasnowidzenia niż mężczyźni.

No, czasem zdarza się też, że to po prostu jakaś pierdolnięta babka gadająca od rzeczy.

- Którędy do urzędu?

- Jedź panie prosto, a na pierwszym skrzyżowaniu w lewo. Tam będzie taki duży budynek z płaskim dachem.

- Dziękuję.

Pojechałem według zaleceń żołnierza. Ludzie budzili się już i wychodzili z domów do pracy, patrzyli na mnie z zaciekawieniem. Niektórzy wyglądali przez okna. W małych miastach często nie lubili obcych. Nic dziwnego, tak naprawdę z każdej strony byli zagrożeni, jak zawsze na nowych ziemiach. To od dzikich zwierząt, przez humanoidalne rasy do bandytów żerujących na małych wioskach.

Pierwsze samochody już wyjeżdżały na drogi. Były to stare modele, tańsze, poruszające się w pierwotny sposób, używających kół. W wielkich metropoliach już tego nie było, niemożliwe takim jeździć w prawdziwym mieście.

Musiałem tam wyglądać jak wielki pan, mój motocykl lewitował tuż przy podłożu.

Dojechałem do ronda i skręciłem w lewo, zaraz zobaczyłem dom, który zgadzał się z opisem. Duży, czyli zaledwie dwa piętra i płaski dach. Niby żadna pomoc, ale każdy inny budynek miał spiczasty. Tak, wszystko się zgadzało. Do tego na parkingu stało już wiele samochodów, urzędnicy zaczęli pracę.

Zatrzymałem się na miejscu dla „niepersonelu”. Zsiadłem z motocykla i przeszedłem przez drzwi. Przedemną ukazało się wielkie pomieszczenie z wieloma okienkami w większości pustych, a na jego środku obszerne schody prowadzące na górę.

Nie mam pojęcia czemu zbudowali budynek tak wielki, że nie byli w stanie zapewnić mu pracowników. Może myśleli, że miasto szybciej się rozwinie, albo po prostu mieli taką zachciankę.

Poprawiłem kołnierz czarnego płaszcza i nie myśląc wiele podszedłem do recepcji.

- Dzień dobry – przywitałem się.

- Dzień dobry. – Urzędniczka uśmiechnęła się miło. - W czym mogę pomóc?

- Chciałbym spotkać się z burmistrzem.

- Dobrze, proszę podać imię, oraz powód, a wpiszę pana na listę oczekujących.

- Ta sprawa nie może czekać. Chcę się z nim teraz spotkać.

- Dobrze – mówiła miło jak tylko się da – wpiszę pana na listę oczekujących i spotkanie będzie tak szybko, jak to tylko możliwe.

Kurwa. Z nimi nigdy nie dało się gadać. Bełkotali po prostu wyuczone formułki.

- Przyszedłem wam pomóc z problemem. Muszę się z nim spotkać natychmiast. Jestem Sambor Strażnik.

- To było tak od razu mówić. - Uśmiechnęła się głupkowato. - Już dzwonię.

Wzięła do ręki firmowy telefon i wybrała numer. Przez chwilę czekała patrząc na mnie lekko zestreso-

wana. To pewnie był jeden z jej pierwszych dni tutaj.

- Dzień dobry. - Zaśmiała się. - Przyszedł ten strażnik.

Przez kilka sekund przytakiwała, by w końcu odłożyć słuchawkę.

- Burmistrz przyjmie pana teraz. Proszę iść do gabinetu numer sto dwadzieścia, to schodami na górę, potem w korytarz trzeci po prawej, a w nim już po lewej ostatnie drzwi.

- Dziękuję – wymamrotałem.

- To ja dziękuję i przepraszam za utrudnienia.

Teraz posłuchałem się wskazań recepcjonistki. Po drodze kilku urzędników dziwnie się na mnie spojrzęło. Wszedłem w korytarz, no dobra, teraz do ostatnich drzwi po lewej. Wyróżniały się na tle innych. Miały kolor bordowy, gdy inne były białe.

Zapukałem.

- Proszę!

Gabinet wyróżniał się skromnością. Nie miał żadnych drogich drobiazgów, nawet żadnego obrazu. Stało biurko, ot tyle do opisu.

- Czekaliśmy na ciebie – mówił pośpiesznie w euforii. - Nie wiesz nawet jak długo.

- Słyszałem... ta babka, tak?

- Tak, tak. - Podszedł do mnie żwawym krokiem i wyciągnął rękę przed siebie. - Jestem Uniegost.

- Sambor Strażnik. - Ucisnąłem dłoń.

Sam burmistrz to człowiek w kwiecie wieku, tak pewnie z koło czterdziestki. Miał wystający brzusek i zakola. Pewnie dlatego strzygł się na łyso.

- Siadaj, siadaj.

Podszedł do biurka tak szybko, że potknął się o nie i prawie przewrócił. Po czym tak samo pośpiesznie usiadł na fotelu. Ja sam zająłem miejsce naprzeciwko.

Dopiero teraz zauważyłem co znajduje się na biurku. Do połowy pełna szklanka, a obok niej whisky popularnej marki. Zauważył, że się gapię i schował to do szuflady, jakby to był odruch. Potem spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem.

- Przepraszam, ostatnio mam trudny okres.

- W pracy się nie pije – skomentowałem twardo.

- Wiem, wiem, przepraszam. - Oparł się ramionami o biurko. - Czyli przybywasz, żeby pozbyć się bandytów. Ile chcesz?

- Myślę, że trzy tysiące wystarczy. Jednak w razie komplikacji cena może wzrosnąć.
- Dobrze, dobrze. Jak się z nimi uporasz to dostaniesz ile trzeba.
- Powiedz mi o nich coś więcej.
- Są na zachód stąd. Nie ma tam żadnego dojazdu, ukrywają się przed resztą świata. A i jeszcze coś...
- Tak?
- Zawsze przyjeżdżają w niedziele po haracz, czasem kogoś porywają.

Hmm, to w takim razie lepiej byłoby na nich poczekać. Od nich mógłbym dowiedzieć się czegoś, na przykład słaby punkt fortyfikacji lub chociaż rozstawienie wart.

- Posłuchaj mnie uważnie.

- Tak?

- Gdy przyjadą, niech ludzie nie wychodzą z domów. Nawet twoi żołnierze nie mogą się wtrącać. Przywitają ich przy bramie jak zawsze. Kiedy wjadą, macie ją zamknąć, a dalej będę ja.

Wyciągnął długopis i notatnik, wszystko skrupulatnie zapisał. Tak mi się wydawało, sądząc po czasie, w którym to robił.

- Do widzenia – odparłem.

Odsunąłem krzesło, wstałem i leniwym krokiem podszedłem do drzwi.

- Zaczekaj! Jeszcze coś! - krzyknął. - Babka jeszcze chciała się z tobą spotkać, mieszka na Długiej dziesięć. Zajrzyj do niej, jeśli to nie problem.

- Zobaczę.

- Do widzenia.

*

Ulica Długa dziesięć, stała tutaj malutka chatka ze spiczastym dachem i kominem zajmującym obszar jednej czwartej jego powierzchni. Gdyby nie brak kurzej stopy byłbym pewien, że trafiłem do baby Jagi. Ale to nie była Jaga, chyba.

Drzwi były pokryte czerwoną farbą, a na nich jedna rzecz wychodziła poza schemat tego domku i przyciągała uwagę. Na środku widniały dwie młode kobiety, które trzymały żelazny pierścień większy od nich samych. Z jego pomocą zapukałem do drzwi.

Otworzyła mi stara babka, lekko zgarbiona i siwa. To taka typowa stara wiedźma, a nie, przepraszam. Jaka jest poprawna terminologia? Guślarka w sędziwym wieku. Brakowało jej jednak do zestawu dużego, czubatego nosa.

- Witaj, witaj. Jesteś w końcu. - Uśmiechnęła się miło, jak starsza pani do wnuka.
- Dzień dobry, burmistrz mówił, że chciała się ze mną pani zobaczyć.
- Tak, tak, proszę wejść, czuć się jak u siebie w domu, i tak dalej i tak dalej. - Weszła od razu do środka, a ja za nią.

Wewnątrz czuć było charakterystyczną woń starości. Sadyba została urządzona po dawnemu. Cała podłoga była wyłożona dywanami, a na każdym fotelu i kanapie leżały koce.

Ściągnąłem buty i wszedłem dalej.

- Kawa? Herbata? – zapytała.

- Kawa.

- Z mlekiem?

- Zwykła, czarna i bez cukru.

Udałem się do salonu i usiadłem na fotelu przed stolikiem. Znajdował się tutaj też kominek, ale nie paliło się w nim. Za ciepło było na dodatkowy ogień.

- To lubię – wykrzyczała z kuchni. - Silny mężczyzna pijący zwykłą, czarną.

Na obrusie stał wielki bukiet kwiatów. Rozpoznałem je, to kortelius, kwiat z jasnoczerwonymi płatkami i ciemnoniebieską łodygą. Rósł tylko na tej planecie. Rzadko i w małych kępach. Był bardzo pomocny przy robieniu mikstur, może niewymagany, ale wzmacniał działanie niektórych i minimalizował ich efekty uboczne.

Po chwili zobaczyłem staruszkę z dwiema filiżankami.

- Ja wzięłam sobie herbatkę, już nie to serce.

Postawiła obie na stole i sama usiadła na kanapie. Wypiłem pierwszego łyka kawy, całkiem dobra.

- Daj mi rękę – powiedziała.

Wyciągnąłem dłoń przed siebie. Babka ją delikatnie złapała i zaczęła się jej dokładnie przyglądać, co jakiś czas przejeżdżając po niej palcami.

Niech zgadnę, zaraz wygłosisz mi jakąś durną przepowiednię o mojej przyszłości. Nie ma to jak zacząć słabą historię od słabej przepowiedni.

Wystarczy już, że moje życie tak się zaczęło. A potem słuchaj przez cały okres nauki wywodów mistrza, potocznie określanych mianem „trucia dupy”, o tym jak to jest się ważnym. Nie ma to jak zacząć chujowe życie chujową przepowiednią.

Na początku fabuły poznać jej koniec.

- Powodzenia – powiedziała w końcu babka.

- Tylko tyle?

- Tylko tyle. - Spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się miło. Dopij kawkę.

Wypiłem kolejnego łyka.

*

Mały pokój, przestronny z aneksem kuchennym. Ważne, że było łóżko i lodówka. Wieczorem wynająłem w motelu, w zasadzie jedynym jaki tu był. „Zielony Pazur” to sieć, która jako pierwsza zainteresowała się nową planetą i w tamtej chwili mieli tutaj największe udziały.

Tutaj recepcjonista także był bardzo miły, aż dziwne. Ludzie zazwyczaj unikali Strażników. Babka musiała o mnie naopowiadać całemu miasteczku. Przyjść ma wielki bohater i zabić bandytów.

Ten pokój dostałem za darmo, zawsze tak powinno być, jak w normalnej grze RPG. Przybyłeś do osady, uratowałeś mieszkańców, a ci zawsze okazывali wdzięczność, płacili złotem i itemami.

Ten burdel zwany kolonizacją, nadal nie był ogarnięty jak być powinien. Wioska wysyłała prośby o pomoc do stolicy i nic, zero pomocy. Musiał przybyć taki strażnik załatwić sprawę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kerad, dodano 13.03.2018 20:19

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.